

MIECZYŚLAW KURZAŃKOWSKI ur. 1932; Lublin



Tytuł fragmentu relacji	Rodzina
Zakres terytorialny i czasowy	Lublin; dwudziestolecie międzywojenne
Słowa kluczowe	rodzina

Rodzina

Mój ojciec był nauczycielem i jednocześnie artystą malarzem, jak to się wówczas mówiło, był plastykiem, grafikiem, malarzem, uczył też rysunku. Tutaj trudno rozdzielić kim bardziej był, ale przede wszystkim był pedagogiem, bo to była podstawa egzystencji domu i rzeczywiście był dobrym nauczycielem, bardzo cenionym. (...) Mama była też nauczycielką, z tym, że ojciec uczył w szkołach średnich, natomiast moja mama uczyła w szkołach powszechnych. Ojciec miał na imię Piotr Juliusz, ale używał tylko imienia Juliusz, tak że wszystkie prace jego podpisane są „Juliusz Kurzątkowski”, ale na przykład w dowodzie osobistym mam: „imię ojca – Piotr”. Natomiast mama nazywała się Helena Wasilewska, pochodziła ze Złoczowa, a ojciec pochodził z Radomia, urodzony w Radomiu, ale tu muszę powiedzieć, że mój ojciec urodzony w Radomiu, natomiast mój dziadek był urodzony w Lublinie. Więc raczej można powiedzieć, że to była rodzina lubelska. Mój pradziadek – Antoni Kurzątkowski był drukarzem w Lublinie, zecerem w jednej drukarni. Potem w roku 1861 otworzył własną drukarnię w Janowie Lubelskim – i po paru latach sprzedał ją i przeniósł się do Radomia, gdzie też otworzył drukarnię, którą potem prowadził mój dziadek – Apolinary Ignacy - właśnie ten urodzony w Lublinie, w roku 1858. Początki małżeństwa moich rodziców były bardzo trudne, bo nie pochodzili z rodzin zamożnych. Bo powiedzmy mój dziadek, czyli ojciec mojego ojca był drukarzem, ale splajtował, ta drukarnia padła. Moja mam też nie była bogata z domu, a znalazła się w okolicach Radomia, pochodząca z Galicji, ponieważ gdy miała lat dwadzieścia, kiedy już dawna kongresówka był pod okupacją austriacką a nie rosyjską, był apel do nauczycieli z Galicji, żeby przyjeżdżali do Kongresówki, ponieważ tutaj brakuje nauczycieli, gdyż nie było przedtem podstawowego szkolnictwa polskiego, tylko szkolnictwo rosyjskie podstawowe. I mama, która była akurat absolwentką średniej szkoły pedagogicznej, na ten apel odpowiedziała i pojechała akurat do Radomia, gdzie skierowano ją do szkółki wiejskiej. Wobec tego była nauczycielką w szkółce wiejskiej, jednoklasowej, to było nędzne wynagrodzenie. Ojciec z kolei w roku 1918 wrócił z niewoli, ponieważ jako poddany rosyjski był w wojsku rosyjskim, w roku 1915 dostał się do niewoli austriackiej, w roku 1918 wrócił do Radomia, ponieważ miał rozpoczętą przed służbą wojskową Akademię, czy tam wyższą szkołę tą, Szkołę Sztuk Pięknych w Warszawie, dwa lata ukończył – podjął pracę nauczyciela rysunku w szkołach średnich w Zamojskich. Z tym, że to była szkoła, to była praca na umowę – jednoroczna, ponieważ ojciec nie miał uprawnień pedagogicznych i co roku umowa była odnawiana. W roku 1925 dyrektor gimnazjum nie odnowił umowy z moim ojcem i musiał sobie szukać innej pracy.

Moja mama już się dziecka spodziewała wtedy i tą inną pracę znalazł w Lubartowie. Rodzice przenieśli się do Lubartowa w roku dziewięćset dwudziestym piątym. Tutaj urodził się... już z tym nowo urodzonym drugim synem Krzysztofem i po roku pracy w gimnazjum prywatnym Kurtza w Lubartowie ojciec podjął pracę w Lublinie. I dojeżdżał po pracy w Lublinie, a mama uczyła w podlubartowskich szkołach wiejskich. I w roku dziewięćset trzydziestym pierwszym rodzice przenieśli się do Lublina, znaczy już jako miejsca stałego zamieszkania i zamieszkali tutaj właśnie na Narutowicza 4. Wtedy mama znowu przez 3 lata dojeżdżała do Lubartowa, bo to był okres kryzysu, w Lublinie nie można było dostać wcale pracy, zresztą to, że później w roku 1934 otrzymała pracę w Lublinie, to tylko zawdzięczała przychylności ówczesnego kuratora. Dojeżdżała tam autobusem, albo pociągiem. Tak samo ojciec. Co było wygodniejsze. Komunikacja autobusowa była nawet dosyć dobra, natomiast jeśli chodzi o dojazd do tych szkół podlubartowskich – to furmanka. Codziennie przyjeżdżała furmanka do Lubartowa, sołtys wyznaczał podwodę, która dowoziła nauczycielkę do szkoły. Tak że sytuacja materialna rodziców była bardzo trudna. No bo to ciągle wędrowanie.... bo zresztą kiedy uczyli, kiedy ojciec uczył w Radomiu, to rodzice mieszkali w Jedlni z kolei i dojeżdżał z Jedlni do pracy. Raz w tygodniu do domu na niedzielę. Więc dopiero kiedy rodzice sobie kupili ten dom drogą zapożyczenia się – długi spłacali jeszcze w czasie okupacji, dopiero życie rodzinne się ustabilizowało wtedy tak naprawdę. Więc pamiętam, że było ono takie bardzo regularne, to wspólne śniadanie rano, zanim rodzice wyszli do pracy i bracia do szkoły, potem obiad o określonej godzinie, też zawsze przy wspólnym stole, kolacja też, taki normalny rytm dnia i świeże bułeczki chrupiące na śniadanie. No oczywiście była też służąca, dom był spory – trzy pokoje z kuchnią, łazienką, przedpokojem i na poddaszu była pracownia, w której wreszcie ojciec mógł jakoś w pełni zacząć malować. Wcześniej nie miał warunków do tego, żeby zajmować się grafiką, malarstwem, dlatego tak niewiele prac zostało z czasów tych pierwszych, wczesnych lat mojego ojca. Miałem dwóch braci starszych. Najstarszy brat – Bogdan, urodzony w 1928 roku, zmarł przed dwoma miesiącami i Krzysztof – urodzony w roku 1925, zmarł w roku 1989. Krzysztof był również plastykiem. Natomiast najstarszy brat pracował w budownictwie. Kiedy ja się urodziłem, to mój najstarszy brat miał lat 10, a ten średni – lat 7. To jest zbyt duża różnica wieku w tym czasie, żeby można się było razem bawić, mieć wspólny język. Nie byli zobowiązani również do tego, żeby się mną opiekować, ponieważ mieliśmy służącą. Ponieważ obydwój rodzice pracowali, to wobec tego musiał być ktoś w domu kto i ugotował, posprzątał i mną się mógł zaopiekować, ponieważ moi starsi bracia już chodzili do szkoły a służąca wówczas nie była wcale luksusem. W sytuacji bezrobocia na wsi i w małych miasteczkach, to naprawdę można było mieć pomoc w domu – gospozię, jak to się obecnie mówi, po prostu za wyżywienie i mieszkanie. Nasza pierwsza służąca to była Władzia, ona tam pracowała jeszcze na Narutowicza i potem przeniosła się z nami tam na ulicę Letnią, na Rury. Władzia Derecka, z Lubartowa pochodząca. Ona potem wyszła za mąż i przeniosła się na Bronowice, do swojego męża, natomiast przyszła następna służąca z Lubartowa – Wandzia Kozak. Niezwykłej uczciwości i pracowitości osoba i rzetelności, właściwie można powiedzieć – członek rodziny. Osoba samotna, nie mająca wymagań jakichś wielkich i bardzo religijna. Mieszkanie było tak zaprojektowane, że była słuźbówka wydzielona, tak że miała Wandzia swój własny pokój. To było tak, że ona przygotowywała wszystko, szła rano robiła zakupy. Z pełnym zaufaniem powierzało się jej pieniądze i dom. Robiła zakupy, robiła śniadanie, w czasie śniadania stawała – były piece kaflowe – opierała się o piec kaflowy i pytała co będzie na obiad i moja mama wydawała dyspozycje, czy tam Wandzia podpowiadała co ma być na obiad. Potem wszyscy się rozchodzili, ja zostawałem tylko z Wandzią, więc albo szliśmy razem na targ, na ten tutaj na Świętoduskiej, na piechotę, po przeciwie komunikacji autobusowej wtedy nie było na tej trasie. Potem było sprzątanie, froterowanie, bo moja mama była strasznie drażliwa na punkcie parkietów, one musiały być zawsze jak lustro. Wandzia była bardzo zajęta, ja nie chodziłem do przedszkola, chociaż to jest wiek, gdy już dzieci chodzą do przedszkola, ale

wówczas to raczej posyłało się do przedszkola takie dzieci, którym nie można było żadnej opieki zupełnie zapewnić, a nie ze względów dydaktycznych. Tak. Ja pamiętam tylko, że ciągle mówiłem do Wandzi: „Wandziu – nudzi mi się!”

Data i miejsce nagrania	2000-06-07, Lublin
Rozmawiał/a	Marta Kubiszyn
Transkrypcja	Marta Kubiszyn
Prawa	Copyright © Ośrodek "Brama Grodzka - Teatr NN"